



JOSEPH
HELLER

Paragraf 22



TEKSAŃCZYK

Była to miłość od pierwszego wejrzenia.

Kiedy Yossarian po raz pierwszy ujrzał kapelana, natychmiast zapalał do niego szalonym uczuciem.

Yossarian leżał w szpitalu z bólami wątroby, które jakoś nie mogły się przerodzić w pospolitą żółtaczkę. Lekarzy zbijało to z tropu. Gdyby to była żółtaczka, mogliby przystąpić do leczenia. Gdyby to nie była żółtaczka i bóle ustąpiłyby same, mogliby go wypisać ze szpitala. Tymczasem fakt, że było to cały czas takie ni to, ni owo, wprowadzał ich w zakłopotanie.

Codziennie rano przychodziło trzech energicznych, poważnych dżentelmenów, wygadanych i krótkowzrocznych, w asyście równie energicznej i poważnej siostry Duckett, jednej z pielęgniarek, które nie lubiły Yossariana. Oglądali kartę choroby wiszącą w nogach łóżka i wypytywali go niecierpliwie o bóle. Denerwowało ich, kiedy mówił, że bóle są takie same jak dotychczas.

— Nadal nie ma stolca? — pytał pułkownik.

Potrząsał głową, a lekarze wymieniali spojrzenia.

— Proszę dać mu jeszcze jedną pigułkę.

Siostra Duckett notowała sobie polecenie i cała czwórka przechodziła do następnego łóżka. Żadna z pielęgniarek nie lubiła Yossariana. Właściwie jego bóle wątroby minęły, ale nie przyznawał się do tego, a lekarze nic nie podejrzewali.

Podejrzewali go jedynie, że ma wypróżnienia, ale się z tym nie zradza.

Yossarian miał w szpitalu wszystko, czego potrzebował. Jedzenie było nie najgorsze, posiłki podawano do łóżka. Chorzy otrzymywali dodatkowe porcje świeżego mięsa, w upalne popołudnia roznoszono chłodzone soki owocowe i mrożone kakao. Poza lekarzami i pielęgniarkami nikt go tu nie niepokoił. Musiał wprawdzie rano poświęcać nieco czasu na cenzurowanie listów, ale za to całą resztę dnia miał prawo przeleżeć beczynnie z czystym sumieniem. W szpitalu było mu bardzo dobrze, a mógł tu pozostawać bez trudu, gdyż od urodzenia miał podwyższoną temperaturę. Był w znacznie lepszej sytuacji niż Dunbar, który, żeby dostawać posiłki do łóżka, musiał padać na twarz.

Kiedy Yossarian postanowił przeczekać tutaj do końca wojny, napisał do wszystkich znajomych, że jest w szpitalu, nie wspominając jednak, z jakiego powodu. Pewnego dnia wpadł na jeszcze lepszy pomysł. Napisał do wszystkich znajomych, że otrzymał bardzo niebezpieczne zadanie. „Pytali, kto się zgłasza na ochotnika. Zadanie jest bardzo niebezpieczne, ale ktoś musi je wykonać. Napiszę do was zaraz po powrocie”. I odtąd nie pisał już do nikogo.

Wszyscy oficerowie przebywający w szpitalu mieli obowiązek cenzurowania listów pacjentów-szeregowców, którzy leżeli w innych salach. Było to nudne zajęcie i Yossarian doznał zawodu, przekonawszy się, że życie szeregowców jest niewiele ciekawsze niż życie oficerów. Po pierwszym dniu tej pracy stracił do niej zupełnie serce i, aby się nieco rozerwać, zaczął sobie wymyślać zabawy. Precz z określnikami, oświadczył pewnego razu, i we wszystkich listach, które przeszły przez jego ręce, znikły przysłowki i przymiotniki. Innego dnia wypowiedział wojnę spójnikom. Jeszcze większą inwencję wykazał w dniu, kiedy to powykreślał wszystko oprócz „a”, „i”, „ale” itp. Stwierdził, że dynamizuje to napięcie międzywierszowe, a poza tym prawie zawsze nadaje listom o wiele bardziej uniwersalny charakter. Potem zamazywał pozdrowienia, pozostawiając tekst listów nietknięty. Pewnego razu zaczerpnął wszystko z wyjątkiem słów

„Kochana Mary” i dopisał pod spodem „Tęsknię za tobą tragicznie. A. T. Tappman, kapelan Armii Stanów Zjednoczonych”. A. T. Tappman był ich kapelanem.

Kiedy wyczerpał już wszystkie możliwości w tekście listów, zaczął atakować nazwiska i adresy na kopertach, jednym niedbałym ruchem dłoni unicestwiając całe domy i ulice, niwecząc metropolie, jakby był Bogiem. Paragraf 22 wymagał, aby każdy cenzurowany list był podpisany przez oficera, który go czytał. Yossarian większości listów nie czytał w ogóle i na tych podpisywał się imieniem i nazwiskiem. Te, które czytał, podpisywał jako Washington Irving. Kiedy stało się to zbyt monotonne, pisał Irving Washington. Cenzurowanie kopert miało poważne następstwa, gdyż wywołało falę zaniepokojenia w pewnej nie lubiącej rozgłosu instytucji wojskowej, która skierowała do szpitala swojego człowieka jako rzekomego pacjenta. Wszyscy wiedzieli, że jest to facet z Wydziału Śledczego, ponieważ wypytywał o oficera nazwiskiem Irving lub Washington i już na drugi dzień odmówił cenzurowania listów. Zbyt go to nudziło.

Dostali tym razem dobrą salę, jedną z lepszych, w jakich Yossarian czy Dunbar mieli kiedykolwiek przyjemność leżeć. Był wśród nich dwudziestoczteroletni pilot w stopniu kapitana, z rzadkim złotawym wąsikiem, który, zestrzelony w środku zimy nad Adriatykiem, nie dostał nawet kataru. Teraz było lato, nikt kapitana nie zestrzelił, a on twierdził, że ma grypę. Po prawej ręce Yossariana leżał wciąż jeszcze w erotycznej pozycji na brzuchu kapitan ze zdziwieniem na twarzy, malarią we krwi i tyłkiem pokąsanym przez komary. Naprzeciwko Yossariana pod drugiej stronie sali leżał Dunbar, a obok niego kapitan artylerii, z którym Yossarian nie grywał już w szachy. Kapitan był dobrym szachistą, więc gra z nim była zawsze interesująca. Yossarian przestał z nim grywać, ponieważ stawało się to tak interesujące, że aż głupie. Mieli też w sali wykształconego Teksańczyka z Teksasu, który wyglądał, jakby wyszedł z filmu w technikolorze, i który jako patriota wierzył, że ludzie zamożni, czyli przyzwoici obywatele, powinni mieć więcej głosów w wyborach niż włóczędzy, kurwy, kryminaliści, degeneraci, ateści

i obywatele nieprzyzwoici, czyli ludzie bez pieniędzy.

W dniu, kiedy pojawił się Teksańczyk, Yossarian tępił w listach rymujące się słowa. Był to któryś z rzędu cichy, upalny, spokojny dzień. Lejący się z nieba żar tłumił dźwięki. Dunbar znowu leżał na wznak, bez ruchu, wpatrzony szklanym wzrokiem w sufit. Pracował nad przedłużeniem sobie życia. Osiągał to przez uprawianie nudy. Dunbar tak gorliwie pracował nad przedłużeniem sobie życia, że można go było wziąć za nieboszczyka. Teksańczyk dostał łóżko pośrodku sali i już wkrótce udostępnił wszystkim swoje poglądy.

Dunbar podskoczył jak ukąszony.

— Otóż to! — krzyknął z zapalem. — Czegoś tu brakowało i teraz już wiem czego. — Uderzył się pięścią w otwartą dłoń. — Brakowało patriotyzmu — oświadczył.

— Masz rację — zawtórował mu Yossarian. — Masz świętą rację. Parówki, drużyna Brooklyn Dodgers, szarlotka upieczona przez mamę. To jest to, o co wszyscy walczymy. Ale czy ktoś walczy o przyzwoitych obywateli? Czy ktoś walczy o większą liczbę głosów dla przyzwoitych obywateli? Nie ma w tym wszystkim patriotyzmu, ot co. Zresztą matriotyzmu również.

Na chorążym, który leżał na lewo od Yossariana, nie zrobiło to żadnego wrażenia.

— Gównu mnie to obchodzi — powiedział zmęczonym głosem i przewrócił się na drugi bok.

Teksańczyk okazał się człowiekiem dobronudnym, koleżeńskim i miłym. Po trzech dniach wszyscy mieli go po dziurki w nosie. Dostawali na jego widok drgawek i unikali go, jak tylko mogli. Jedynie żołnierz w bieli znajdował się w sytuacji przymusowej. Żołnierz w bieli był od stóp do głów zakuty w gips i spowity bandażami. Miał dwie bezużyteczne ręce i dwie bezużyteczne nogi. Przemycono go na salę w nocy i nikt nie miał pojęcia o jego obecności aż do rana, kiedy to po przebudzeniu ujrzeli dwie dziwne nogi i dwie dziwne ręce wyciągnięte pionowo w górę, zawieszone dziwnie w powietrzu za pomocą ołowianych ciężarków zwisających złowieszco nad jego nieruchomym ciałem. W bandażach po wewnętrznej stronie jego łokci mieściły się zasuwane na zamek

błyskawiczny usta, do których spływał przezroczysty płyn z przezroczystego naczynia. Z gipsu pokrywającego pachwinę wystawała milcząca metalowa rurka, z podłączonym cienkim elastycznym przewodem, który bardzo sprawnie odprowadzał produkty jego nerek do zakorkowanego przezroczystego naczynia stojącego na podłodze. W miarę tego jak opróżniało się naczynie odżywiające jego łokieć, naczynie na podłodze napełniało się płynem i wówczas po prostu naczynia szybko przestawiano i płyn mógł z powrotem spływać w jego ciało. Właściwie z całego żołnierza w bieli nigdy nie widzieli nic prócz czarnej, strzępiastej dziury nad jego ustami.

Położono go obok Teksańczyka, który siadał bokiem na swoim łóżku i przemawiał do niego rano, po południu i wieczorem przyjemnym basem południowca, rozciągając głoski. Brak odpowiedzi zupełnie mu nie przeszkadzał.

Dwukrotnie w ciągu dnia chorem mierzono temperaturę. Codziennie wczesnym rankiem i drugi raz przed wieczorem wkraczała na salę siostra Cramer ze słojem pełnym termometrów i przechodziła wzdłuż jednego rzędu łóżek, a potem wracała wzdłuż drugiego rzędu, rozdając wszystkim pacjentom termometry. Z żołnierzem w bieli radziła sobie wkładając termometr do dziury nad jego ustami i opierając go na dolnym brzegu otworu. Potem wracała do pierwszego pacjenta, brała jego termometr, notowała temperaturę i tak szła kolejno od łóżka do łóżka. Pewnego popołudnia, gdy zakończyła pierwszą rundę i podeszła powtórnie do żołnierza w bieli, spojrzała na termometr i stwierdziła, że pacjent zmarł.

— Morderca — powiedział spokojnym głosem Dunbar.

Teksańczyk spojrzał na niego z niepewnym uśmiechem.

— Zabójca — dodał Yossarian.

— O czym wy mówicie? — spytał nerwowo Teksańczyk.

— To ty go zamordowałeś — powiedział Dunbar.

— Zabiłeś go — zawtórował Yossarian.

Teksańczyk cofnął się przerażony.

— Czyście powariowali? Nawet go nie dotknąłem.

— Zamordowałeś go — powiedział Dunbar.

— Słyszałem, jak go zabijałeś — powiedział Yossarian.

— Zabiłeś go, bo był Murzynem — powiedział Dunbar.

— Oszaleliście? — krzyknął Teksańczyk. — Tutaj Murzynów nie wpuszczają. Dla czarnych mają osobne miejsce.

— Sierżant go tu przeszmuglował — powiedział Dunbar.

— Sierżant komunista — dodał Yossarian.

— A ty się o tym dowiedziałeś.

Na chorążym, który leżał na lewo od Yossariana, cała sprawa żołnierza w bieli nie zrobiła wrażenia. Na chorążym w ogóle nic nie robiło wrażenia i jeśli się odzywał, to tylko po to, żeby dać upust niezadowoleniu.

Na dzień przed tym, jak Yossarian poznał kapelana, w jadalni wybuchł piec, wskutek czego barak kuchenny stanął w płomieniach. Podmuchi gorącego powietrza dało się odczuć w całej bazie. Nawet w sali Yossariana, odległej o prawie trzysta stóp, słysząc było huk pożaru i ostre trzaski płonących belek. Za pomarańczowo połyskującymi szybami pędził dym. Po piętnastu minutach nadjechały z lotniska samochody straży pożarnej. Przez pół godziny mimo rozpaczliwych wysiłków strażaków sprawa wyglądała groźnie. Zaledwie strażacy zaczęli brać górę nad ogniem, rozległo się dobrze znane jednostajne buczenie powracających bombowców, musieli więc zwinąć swoje węże i pędzić na lotnisko, na wypadek gdyby któryś z samolotów rozbił się i zapalił przy lądowaniu. Wszystkie wylądowały pomyślnie. Gdy tylko ostatni z bombowców znalazł się na ziemi, strażacy zawrócili swoje ciężarówki i popędzili na złamanie karku, żeby podjąć na nowo walkę z ogniem w szpitalu. Kiedy przybyli na miejsce, ognia już nie było. Zgasł sam, znikł, nie pozostawiając nawet żaru, który można by połać wodą. Zawiedzeni strażacy nie mając nic do roboty popijali letnią kawę i kręcili się koło szpitala w nadziei, że uda im się przerznąć jakąś pielęgniarkę.

Kapelan zjawił się nazajutrz po pożarze. Yossarian był właśnie zajęty wykreślaniami z listów wszystkiego prócz zaklęć miłosnych, kiedy na krześle koło łóżka usiadł kapelan i spytał go, jak się czuje. Siedział bokiem, Yossarian widział więc jedynie dystynkcje kapitana na jego kołnierzu. Nie wiedząc, kto to jest, uznał, że to jakiś nowy lekarz albo nowy wariat.

— Zupełnie nieźle — odpowiedział. — Mam lekkie bóle wątroby i nie bardzo można na mnie polegać, jeśli chodzi o stolec, ale w sumie muszę przyznać, że czuję się zupełnie nieźle.

— To dobrze — powiedział kapelan.

— Tak — przyznał Yossarian. — Tak, to dobrze.

— Przyszedłbym wcześniej — powiedział kapelan — ale czułem się niezbyt dobrze.

— To niedobrze — powiedział Yossarian.

— Byłem tylko przeziębiony — wyjaśnił pośpiesznie kapelan.

— Mam temperaturę sto jeden stopni* — dorzucił Yossarian równie szybko.

— To niedobrze — powiedział kapelan.

— Tak — zgodził się Yossarian. — To niedobrze.

Kapelan zaczął się wiercić na krześle.

— Czy mógłbym coś dla pana zrobić? — spytał po chwili.

— Nie — westchnął Yossarian. — Lekarze robią chyba wszystko, co w ludzkiej mocy.

— Ależ nie — zarumienił się z lekka kapelan. — Miałem na myśli coś innego. Może papierosy... książki... zabawki...

— Nie, nie — powiedział Yossarian. — Dziękuję. Mam wszystko, czego człowiekowi potrzeba, wszystko prócz zdrowia.

— To niedobrze.

— Tak — westchnął Yossarian. — Tak, to niedobrze.

Kapelan znowu zaczął się wiercić. Zerknął kilka razy na boki, spojrzał na sufit, potem na podłogę. Wreszcie westchnął głęboko.

— Porucznik Nately przesyła panu pozdrowienia — powiedział.

Yossarian z przykrością się dowiedział, że mają wspólnego znajomego. Wyglądało na to, że teraz mają rzeczywiście temat do rozmowy.

— Zna pan porucznika Nately'ego? — spytał z żalem w głosie.

— Tak, znam go dość dobrze.

* Fahrenheita (= 37,2°C).

— Trochę zwariowany, prawda?

Kapelan uśmiechnął się z zażenowaniem.

— Na ten temat niestety nic nie mogę powiedzieć. Nie znam go aż tak dobrze.

— Może mi pan wierzyć na słowo — powiedział Yossarian.

— Trudno o większego wariata.

Kapelan starannie ważył kolejną chwilę milczenia, aż nagle przerwał je niespodziewanym pytaniem.

— Pan kapitan Yossarian, prawda?

— Natęty miał trudne dzieciństwo. Pochodzi z dobrej rodziny.

— Proszę mi wybaczyć — nalegał bojaźliwie kapelan — ale możliwe, że popełniłem poważny błąd. Czy pan jest kapitan Yossarian?

— Tak — wyznał kapitan Yossarian. — Kapitan Yossarian to ja.

— Z dwieście pięćdziesiątej szóstej eskadry?

— Z dwieście pięćdziesiątej szóstej eskadry bojowej. Nie słyszałem, żeby byli jacyś inni kapitanowie Yossarianowie. O ile wiem, jestem jedynym kapitanem Yossarianem, jakiego znam, ale mogę mówić tylko za siebie.

— Rozumiem — powiedział kapelan z nieszczęśliwą miną.

— To jest dwa do ósmej potęgi bojowej — zauważył Yossarian — gdyby chciał pan napisać symboliczny wiersz o naszej eskadrze.

— Nie — mruknął kapelan — nie planuję pisania symbolicznego wiersza o pańskiej eskadrze.

Yossarian poderwał się gwałtownie, gdyż wypatrzył maleńki srebrny krzyżyk po drugiej stronie kołnierza kapelana. Wywarło to na nim piorunujące wrażenie, bo nigdy dotąd nie rozmawiał z kapelanem.

— Pan jest kapelanem! — krzyknął zachwycony. — Nie wiedziałem, że pan jest kapelanem.

— Ależ tak — odpowiedział kapelan. — To pan nie wiedział, że jestem kapelanem?

— Ależ skąd! Nie wiedziałem, że pan jest kapelanem.

Yossarian pożerał go zachwyconymi oczami, z uśmiechem szczęścia na twarzy.

— Nigdy w życiu nie widziałem kapelana — wyznał.

Kapelan znów się zapłonił i spuścił oczy. Był to drobny, może trzydziestodwuletni mężczyzna o kasztanowatych włosach i nieśmiałych piwnych oczach. Twarz miał pociągłą i bladą. Niewinny młodzieńczy trądzik pokrywał jego wpadnięte policzki. Yossarian chciał mu jakoś pomóc.

— Czy mogę coś dla pana zrobić? — spytał kapelan.

Yossarian potrząsnął głową, nadal uśmiechając się od ucha do ucha.

— Nie, dziękuję. Mam wszystko, czego mi potrzeba, i czuję się zupełnie dobrze. Prawdę mówiąc, nie jestem nawet chory.

— To dobrze — powiedział kapelan i natychmiast się zreflektował. Parsknąwszy śmiechem zasłonił dłonią usta, ale Yossarian sprawił mu zawód, gdyż pozostał niewzruszony. — Muszę jeszcze odwiedzić innych żołnierzy z naszej grupy — powiedział kapelan po chwili. — Odwiedzę pana znowu, może jutro.

— Bardzo proszę.

— Przyjdę pod warunkiem, że sam pan sobie tego życzy — powiedział kapelan spuszczać nieśmiało głowę. — Zauważyłem, że wielu moja obecność krępuje.

Yossarian promieniował serdecznością.

— Ależ chcę, żeby mnie pan odwiedził. Wcale nie będę się czuł skrepowany.

Kapelan uśmiechnął się z wdzięcznością i zerknął w dół na skrawek papieru, który przez cały czas ukrywał w dłoni. Poruszając bezgłośnie wargami policzył łóżka i z powątpiewaniem zatrzymał wzrok na Dunbarze.

— Przepraszam — spytał szeptem — czy to jest porucznik Dunbar?

— Tak — odpowiedział Yossarian na cały głos — to jest porucznik Dunbar.

— Dziękuję — szepnął kapelan. — Bardzo panu dziękuję. Jemu też muszę złożyć wizytę. Muszę odwiedzić wszystkich żołnierzy naszej grupy, którzy przebywają w szpitalu.

— Tych w innych salach też? — spytał Yossarian.

— Tych w innych salach też.

— Niech ksiądz będzie ostrożny w innych salach — ostrzegł Yossarian. — Trzymają w nich chorych umysłowo. Pełno tam wariatów.

— Nie trzeba się do mnie zwracać per „ksiądz” — wyjaśnił kapelan. — Jestem anabaptystą.

— Mówię o tych innych salach zupełnie poważnie — ciągnął Yossarian ponuro. — Żandarmi pana nie będą bronić, bo sami są największymi wariatami. Poszedłbym z panem, ale sam jestem w strachu. Obłęd jest zaraźliwy. Z całego szpitala tylko nasza sala jest normalna. Wszyscy oprócz nas to wariaci. Możliwe, że to w ogóle jedyna normalna sala na całym świecie.

Kapelan pośpiesznie wstał i odsunął się od łóżka Yossariana, a potem kwinął głową z uspokajającym uśmiechem i obiecał zachować należytą ostrożność.

— A teraz muszę odwiedzić porucznika Dunbara — powiedział. Mimo to ociągał się jeszcze, jakby miał skrupuły. — Chciałbym się o nim czegoś dowiedzieć — powiedział wreszcie.

— To wspaniały człowiek — zapewnił go Yossarian. — Prawdziwy hrabia. Jeden z najlepszych, najmniej skłonnych do poświęceń ludzi na świecie.

— Nie to miałem na myśli — wyjaśnił szeptem kapelan. — Czy on jest bardzo chory?

— Nie, nie jest bardzo chory. Prawdę powiedziawszy, wcale nie jest chory.

— To dobrze — westchnął z ulgą kapelan.

— Tak — zgodził się Yossarian. — Tak, to bardzo dobrze.

— Kapelan! — zawołał Dunbar, kiedy kapelan pożegnał się z nim i wyszedł. — Widziałeś coś takiego? Kapelan.

— Uroczy, prawda? — powiedział Yossarian. — Chyba powinni mu dać ze trzy głosy.

— Kto ma dać mu trzy głosy? — spytał podejrzliwie Dunbar.

Na końcu sali za przepierzeniem z pomalowanej na zielono dytky pracował niestrudzenie w swoim łóżku poważny pułkownik w średnim wieku. Codziennie odwiedzała go łagodna, miła kobieta o kręconych popielatoblond włosach, która nie należała ani do personelu szpitalnego, ani do Kobiecego Korpusu

Pomocniczego, ani do Czerwonego Krzyża, a mimo to zjawiała się niezmiennie każdego popołudnia w szpitalu na Pianosie, ubrana w bardzo eleganckie pastelowe letnie sukienki, białe pantofelki na obcasie i nylonowe pończochy o nieskazitelnie prostych szwach. Pułkownik był łącznościowcem i dzień i noc bez przerwy wycharkiwał służbowe komunikaty ze swego wnętrza do płatków gazy, które następnie starannie składał i odsyłał do białego naczynia z pokrywą, stojącego na jego nocnym stoliku. Pułkownik był wspaniały. Miał wpadnięte usta, wpadnięte policzki, wpadnięte, smutne, zapleśniałe oczy. Jego twarz miała barwę oksydowanego srebra. Kasłał cicho, ostrożnie i powoli przykładając do warg płatki gazy z obrzydzeniem, które stało się już automatyczne.

Wokół pułkownika kłębili się specjaliści, specjalizujący się w próbach ustalenia, co mu jest. Świecili mu w oczy, żeby się przekonać, czy widzi, wbijali mu igły w ośrodki nerwowe, żeby usłyszeć na własne uszy, czy czuje. Był tam urolog od uryny, limfolog od limfy, endokrynolog od endokrynów, psycholog od psychiki, dermatolog od dermy; był patolog zajmujący się jego patosem, cytolog zajmujący się jego cystami oraz łysy i pedantyczny cetolog z wydziału zoologii na Uniwersytecie Harvarda, bezlitośnie porwany w szeregi lekarzy wojskowych na skutek przepalenia się lampy w mózgu elektronowym, usiłujący teraz dyskutować z umierającym pułkownikiem na temat *Moby Dicka*.

Pułkownik został przebadany, co się zowie. Każdy organ jego ciała naszpikowano lekarswami, sponiewierano, wydrenowano i wydrylowano, obmacano i sfotografowano, wyjęto, splądrowano i wsadzono z powrotem. Schludna, szczupła, prosta jak trzcina kobieta dotykała go i uśmiechała się siedząc przy jego łóżku, jak ucieleśnienie godnego smutku. Pułkownik był wysoki, chudy i zgarbiony. Kiedy wstawał, garbił się jeszcze bardziej, aż cała jego postać stawała się wklęsła. Chodząc stawiał stopy z największą ostrożnością, przesuwając je o kilka cali. Pod oczami miał fioletowe worki. Kobieta mówiła bardzo cicho, ciszej nawet niż pułkownik kasłał, i nikt z leżących na sali nie słyszał jej głosu.

W ciągu niespełna dziesięciu dni Teksańczyk wypłoszył wszystkich. Pierwszy załamał się kapitan artylerii, zapoczątkowując istny exodus. Dunbar, Yossarian i kapitan-pilot zwiali tego samego ranka. Dunbar przestał cierpieć na zawroty głowy, kapitanowi przeszedł katar. Yossarian powiedział lekarzom, że bóle wątroby ustąpiły. Nawet chorąży uciekli. Nie trzeba było niczego więcej. W ciągu niespełna dziesięciu dni Teksańczyk zapędził wszystkich z powrotem do szeregów — wszystkich z wyjątkiem faceta z Wydziału Śledczego, który się zaraził od kapitana-pilota i dostał zapalenia płuc.

2

CLEVINGER

Pod pewnym względem ten facet z Wydziału Śledczego miał szczęście, gdyż poza ścianami szpitala nadal toczyła się wojna.

Ludzie wpadali w szal i dostawali medale. Na całym świecie chłopcy po obu stronach linii frontu ginęli za coś, co, jak im powiedziano, jest ich ojczyzną, i nikt jakoś nie miał nic przeciwko temu, nawet oni sami. Nie widać było końca temu wszystkiemu. Jedyny koniec, jakiego można się było spodziewać, to był koniec Yossariana, a mógł przecież leżeć sobie w szpitalu do dnia Sądu Ostatecznego, gdyby nie ten patriotyczny Teksańczyk ze swymi lejkokształtnymi policzkami i wymiętoszonym, rozmamłanym, niezniszczalnym uśmiechem, przecinającym niezmiennie jego twarz niczym rondo wielkiego czarnego kowbojskiego kapelusza. Teksańczyk pragnął, aby wszyscy na sali z wyjątkiem Yossariana i Dunbara byli zadowoleni. Był naprawdę bardzo chory.

Ale Yossarian nie potrafił być zadowolony, choćby nawet Teksańczyk życzył mu czegoś wręcz przeciwnego, gdyż poza murami szpitala nadal działy się niewesołe rzeczy. Nadal trwała wojna i wyglądało na to, że oprócz Yossariana i Dunbara nikt tego nie dostrzega. Kiedy zaś Yossarian usiłował ludziom o tym przypominać, odsuwali się od niego jak od wariata. Nawet Clevinger, po którym można się było spodziewać czegoś więcej, nawymyślał mu od wariatów, kiedy się ostatnio widzieli, to

znaczy tuż przed ucieczką Yossariana do szpitala.

Clevinger wpatrywał się w niego bliski apopleksji z wściekłości i kurczowo trzymając się stołu krzyczał:

— Jesteś wariat!

— Clevinger, czego ty właściwie chcesz od ludzi? — tonem znużenia odpowiedział Dunbar w rozgwarze klubu oficerskiego.

— Ja nie żartuję — upierał się Clevinger.

— Oni chcą mnie zabić — powiedział spokojnie Yossarian.

— Nikt nie chce cię zabić — krzyknął Clevinger.

— To dlaczego do mnie strzelają? — spytał Yossarian.

— Oni strzelają do wszystkich — odpowiedział Clevinger.

— Chcą zabić wszystkich.

— A co to za różnica?

Clevinger podniecony uniósł się z krzesła, oczy mu zaszczyły łzami, zbielełe wargi drżały. Jak zwykle, kiedy bronił zasad, w które święcie wierzył, zaczynał sapać nerwowo i łykać gorzkie łzy fanatyzmu. Clevinger miał wiele takich zasad, w które święcie wierzył. Clevinger był wariatem.

— Co to znaczy oni? — dopytywał się. — Kto, według ciebie, chce cię zamordować?

— Oni wszyscy — odpowiedział mu Yossarian.

— Jacy oni?

— A jak ci się wydaje?

— Nie mam pojęcia.

— No to skąd wiesz, że nie chcą mnie zamordować?

— Stąd, że... — Clevingera zatkało i umilkł zbity z tropu.

Był przekonany, że ma rację, ale Yossarian rozporządzał niezbitymi dowodami, gdyż zupełnie nie znani mu ludzie strzelali do niego z działek za każdym razem, kiedy leciał zrzucać na nich bomby, co nie było wcale zabawne. A tyle innych rzeczy, jeszcze mniej zabawnych? Nie było też nic zabawnego w tym, że mieszkał jak włóczęga w namiocie na Pianosie, mając za plecami wielkie góry, a przed sobą spokojną, błękitną toń morza, które mogło pochłoniąć człowieka w mgnieniu oka i odesłać go po trzech dniach z powrotem na brzeg, *loco i franco*, wzdętego, siniego i nadgniłego, z zimną wodą wyciekającą z nozdrzy.

Namiot Yossariana stał pod wąskim bezbarwnym laskiem oddzielającym jego eskadrę od eskadry Dunbara. Tuż obok przebiegał wykop nieczynnej linii kolejowej, w którym ułożono rurociąg doprowadzający benzynę lotniczą do cystern na lotnisku. Dzięki Orrowi był to najbardziej luksusowy namiot w całej eskadrze. Ilekroć Yossarian wracał z wakacji w szpitalu albo z urlopu w Rzymie, zaskakiwało go jakieś nowe udogodnienie, które Orr wprowadził podczas jego nieobecności. Raz była to woda bieżąca, innym razem kominek lub betonowa podłoga. Yossarian wybrał miejsce i wspólnie z Orrem ustawili namiot. Orr, wiecznie uśmiechnięty pigmej z odznaką pilota i gęstą, falującą kasztanową czupryną z przedziałkiem pośrodku, wnosił swoją wiedzę, Yossarian zaś, jako wyższy, silniejszy, szerszy w ramionach i szybszy, wykonywał większość prac. Mieszkali tylko we dwóch, chociaż namiot był sześćoosobowy. Kiedy przyszło lato, Orr podwinął boczne ścianki, żeby wpuścić wiatr, który jednak nie chciał jakoś wiać i odświeżać rozpalonego powietrza.

Najbliższym sąsiadem Yossariana był Havermeyer, który uwielbiał sezamki, mieszkał sam w dwuosobowym namiocie i noc w noc strzelał do małych polnych myszek wielkimi kulami z czterdziestki piątki skradzionej nieboszczykowi z namiotu Yossariana. W następnym namiocie McWatt nie mieszkał już z Clevingerem, który jeszcze nie wrócił, gdy Yossarian wyszedł ze szpitala. McWatt mieszkał teraz z Natelym, który spędzał urlop w Rzymie, gdzie zakochany po uszy zalecał się do pewnej zaspanej dziwki, śmiertelnie znudzonej i swoim procederem, i jego zalotami. McWattowi brakowało piątej kleпки. Był pilotem i przy każdej okazji przelatywał najniżej jak tylko mógł nad namiotem Yossariana, żeby go nastraszyć. Lubił również pikować z szaleńczym rykiem motorów na tratwę z desek i pustych beczek, przy której lotnicy kapali się nago tuż przy piaszczystej, nieskazitelnie białej plaży. Mieszkanie w jednym namiocie z wariatem nie było łatwe, ale Natel nie miał nic przeciwko temu. On też był wariatem i wszystkie wolne chwile spędzał przy budowie klubu oficerskiego, do której Yossarian nawet nie przyłożył ręki.

Prawdę mówiąc, wiele było klubów oficerskich, do których budowy Yossarian nie przyłożył ręki, ale najbardziej szczycił się tym na Pianosie, był to bowiem trwały i okazały pomnik jego silnej woli. Yossarian ani razu nie przyszedł pomóc przy budowie, za to później, gdy klub już ukończono, przychodził bardzo często, urzeczony tym dużym, pięknym, nieregularnym budynkiem krytym gontem. Była to rzeczywiście wspaniała konstrukcja i Yossariana przepełniało uczucie nieklamanej dumy, ilekroć spoglądał na nią i pomyślał, że nawet nie kiwnął palcem przy jej wznoszeniu.

Ostatnim razem, kiedy nawymyślali sobie z Clevingerem od wariatów, siedzieli we czterech w głębi sali, obok stołu do gry w kości, przy którym niezmiennie wygrywał Appleby. Appleby grał w kości równie dobrze jak w ping-ponga, a w ping-pongu był równie dobry jak we wszystkim innym. Wszystko, co robił, robił dobrze. Był jasnowłosym chłopcem z Iowy, wierzył, nigdy się nad tym nie zastanawiając, w Boga, Macierzyństwo i Amerykański Styl Życia i był przez wszystkich lubiany.

— Jak ja nienawidzę tego skurwysyna — warknął Yossarian.

Kłótnia między nim a Clevingerem wybuchła przed kilkoma minutami, kiedy to Yossarian nie mógł znaleźć karabinu maszynowego. Wieczór był pełen ruchu i gwaru. Rojno było przy barze, przy stole do gry w kości i przy stole do ping-ponga. Ludzie, których Yossarian chciał wykosić z karabinu maszynowego, tłoczyli się przy barze śpiewając stare sentymentalne piosenki, które wszystkim oprócz niego się podobały. Nie mając karabinu maszynowego, Yossarian rozgniół obcasem piłeczkę pingpongową, gdy potoczyła się w jego stronę odbita raketką jednego z dwóch grających oficerów.

— Ach, ten Yossarian — dwaj oficerowie ze śmiechem pokręcili głowami i wzięli nową piłeczkę z pudełka na półce.

— Ach, ten Yossarian — odpowiedział im Yossarian.

— Yossarian — szepnął Nately ostrzegawczo.

— Sami widzicie — powiedział Clevinger.

Oficerowie roześmieli się, że Yossarian ich przedrzeźnia.

— Ach, ten Yossarian — powtórzyli głośniejszym głosem.

— Ach, ten Yossarian — zawtórował im Yossarian.

— Yossarian, proszę cię — błagał Nately.

— Sami widzicie — powtórzył Clevinger — że on jest nieprzystosowany do życia w społeczeństwie.

— Zamknij się — powiedział Dunbar. Dunbar lubił Clevingera, ponieważ Clevinger go drażnił, zwalniając w ten sposób bieg czasu.

— Appleby'ego wcale tu nie ma — obwieścił tryumfalnie Clevinger.

— A kto mówił o Applebym? — spytał Yossarian.

— Pułkownika Cathcarta też nie ma.

— A kto tu mówił coś o pułkowniku Cathcarcie?

— No, to którego skurwysyna tak nienawidzisz?

— A jaki skurwysyn jest na sali?

— Nie będę się z tobą sprzeczał — zdecydował nagle Clevinger. — Sam nie wiesz, kogo nienawidzisz.

— Wszystkich, którzy chcą mnie otruć — powiedział Yossarian.

— Nikt cię nie chce otruć.

— Jak to, przecież już dwa razy zatruli mi jedzenie. Może nie wypali mi trucizny do jedzenia, raz kiedy bombardowaliśmy Ferrarę, a drugi raz podczas Wielkiego Oblężenia Bolonii?

— Wtedy wszyscy dostali zatrute jedzenie — wyjaśnił Clevinger.

— A co to za różnica?

— A poza tym to wcale nie była trucizna! — krzyknął Clevinger podniecając się coraz bardziej, w miarę jak coraz mniej z tego wszystkiego rozumiał.

Yossarian wyjaśnił mu z cierpliwym uśmiechem, że jak daleko sięga pamięcią, ktoś zawsze czyha na jego życie. Są ludzie, którzy go lubią, i są inni, którzy go nie lubią i chcą go ukatrupić. Nienawidzą go za to, że jest Asyryjczykiem. Ale nie mogą mu nic zrobić, jak tłumaczył Clevingerowi, ponieważ ma zdrowego ducha w zdrowym ciele i jest silny jak byk. Nie mogą mu nic zrobić, ponieważ jest Tarzanem, Mandrakim i Flash Gordonem z komiksów w jednej osobie. Jest Billem Szekspirem. Jest Kainem, Ulissesem, Latającym Holendrem; jest Lotem z Sodomy, Deirdre z legendy, Sweeneyem wśród słowików, jest

tajemniczym Z-247. Jest...

— Wariat! — zapiał Clevinger. — Wiesz, kto ty jesteś? Jesteś wariat!

— ...wspaniały, najprawdziwszy, bombowy, autentyczny cud natury. Jestem *bona fide supraman*.

— *Superman*? — krzyknął Clevinger. — Ty jesteś *superman*?

— *Supraman* — poprawił go Yossarian.

— Panowie, dajcie spokój — uciszał ich zawstydzony Natel. — Wszyscy na nas patrzą.

— Jesteś wariat — krzyczał głośno Clevinger ze łzami w oczach. — Masz kompleks Jehowy.

— Dla mnie wszyscy są Natanielami.

Clevinger przerwał swoją orację wietrząc jakiś podstęp.

— Kto to jest Nataniel? — spytał.

— Jaki Nataniel? — rzucił niewinnie Yossarian.

Clevinger zręcznie ominął pułapkę.

— Według ciebie każdy jest Jehową. Jesteś nie lepszy niż Raskolnikow...

— Niż kto?

— ...tak, Raskolnikow, który...

— Raskolnikow!

— ...który sądził, że można usprawiedliwić morderstwo staruszki...

— Nie lepszy?

— ...tak, usprawiedliwić... siekierą! Mogę ci to udowodnić!

Sapiąc nerwowo Clevinger wyliczał symptomy choroby Yossariana: nieuzasadnione przekonanie, że otaczają go sami wariaci, morderczy popęd do koszenia obcych ludzi z karabinu maszynowego, przekręcanie faktów, wyssane z palca podejrzenia, że ludzie go nienawidzą i spiskują, aby go zgładzić.

Yossarian był jednak pewien swojej racji, gdyż jak wyjaśnił Clevingerowi, o ile wie, nigdy się nie myli. Wszędzie widzi wokół siebie tylko szaleńców i jedyną rzeczą, jaką wśród tego szaleństwa może zrobić rozsądny młody dżentelmen taki jak on, to zachować rozsądek. Jest to tym ważniejsze, że wie, iż jego życie znajduje się w niebezpieczeństwie.

Yossarian po powrocie ze szpitala przyglądał się wszystkim

spod oka. Milo wyjechał do Smyrny na zbiór fig, lecz mimo jego nieobecności kuchnia działała sprawnie. Yossarian poczuł przenikliwy zapach ostro przyprawionej baraniny już w karetce, która podskakiwała po wyboistej drodze ciągnącej się jak stare szelki pomiędzy szpitalem a eskadrą. Na obiad były kebabce, duże smakowite porcje przyprawionego mięsa, marynowanego przez siedemdziesiąt dwie godziny w miksturze, której tajemnicę Milo wykradł jakiemuś chytremu lewantyńskiemu handlarzowi; skwierczały teraz na ruszcie jak diabli. Do tego podano perski ryż i szparagi z parmezanem, a na deser był krem z wiśniami i świeżo parzona kawa z koniakiem lub benedyktynem. Posilek serwowali w ogromnych porcjach na adamaszkowych obrusach zręczni włoscy kelnerzy, których major... de Coverley porwał i przywiózł na wyspę w darze Milowi.

Yossarian opychał się, dopóki nie poczuł, że zaraz pęknie, i w błogiej oціężałości osunął się na oparcie krzesła, mając usta wypełnione soczystym wspomnieniem uczty. Nikt z oficerów eskadry nie jadał nigdy w życiu tak dobrze jak teraz w stołówce Mila i Yossarian zastanawiał się przez chwilę, czy nie jest to wystarczającą rekompensatą za wszystko inne. Zaraz jednak odbiło mu się i natychmiast przypomniał sobie, że jego życie jest w niebezpieczeństwie, wyskoczył więc jak oparzony ze stołówki, żeby poszukać doktora Daneeki i zażądać zwolnienia ze służby liniowej i odesłania do kraju. Doktor Daneeka siedział na wysokim stołku, wygrzewając się w słońcu przed swoim namiotem.

— Pięćdziesiąt akcji — powiedział kręcąc głową. — Pułkownik żąda pięćdziesięciu lotów bojowych.

— Ale ja mam tylko czterdzieści cztery!

Doktor Daneeka pozostał niewzruszony. Był to smutny, podobny do ptaka człowiek, ze szpatułkowatą twarzą o ostrych rysach przywodzących na myśl dobrze utrzymanego szczura.

— Pięćdziesiąt lotów bojowych — powtórzył kręcąc głową. — Pułkownik żąda pięćdziesięciu lotów.